

KATALOŃSKI BESTSELLER

# KLĄTWA RODZINY PALMISANO

RAFEL NADAL



Gdyby Bóg chciał wysłać na Ziemię zapowiedź końca świata, z pewnością wybrałby ten okropny dzień w tym właśnie zakątku południowych Włoch. Tak naprawdę apokalipsa musiała się już zacząć, bo kiedy dwudziestego czwartego sierpnia 2012 roku o drugiej po południu dotarliśmy do Bellorotondo, temperatura sięgała trzydziestu dziewięciu stopni Celsjusza i wyglądało na to, że zamierza dalej rosnąć.

– Nie mam czym oddychać – zaprotestowałem cicho, żeby nie tracić niepotrzebnie sił, i zadałem sobie pytanie, po jakie лихо przemierzamy w pełnym słońcu to przekłete miasteczko, które rozsiadło się na jednym ze wzgórz Apulii opasanym kilkoma kręgami zabudowań.

Moja żona Anna nie odpowiedziała. Szliśmy jak w zwolnionym tempie, powłócząc nogami i próbując oszczędzić resztki energii, jakie nam zostały. W palącym słońcu wspinaliśmy się bardzo długą ulicą, szukając cienia albo chociaż prześwitów między domami, jakiegoś punktu widokowego wychodzącego na równinę, w nadziei, że powieje

stamtąd wiatr. Kiedy zatrzymaliśmy się, żeby odzyskać siły, ujmowaliśmy w dwa palce przepocone koszule, żeby odkleiły nam się od ciała.

Miasteczko wyglądało na wyludnione. Jediną oznaką życia, na jaką się natknęliśmy od chwili, gdy zostawiliśmy na dole samochód, były dwa psy śpiące na starym dywaniku w cieniu kontenerów na śmieci. Gdy doszliśmy do końca Corso 20 Settembre, w najwyższej części miasteczka, cyfrowy termometr wskazywał czterdzieści stopni.

Już mieliśmy zrezygnować, przyznając się do ewidentnej porażki, kiedy skręciwszy w jakąś uliczkę, odkryliśmy plac. Był to rozległy punkt widokowy otwierający się ponad winnicami i gajami oliwnymi na dolinę; można było stamtąd podziwiać panoramę sięgającą niemal Adriatyku. Nad tą skromną oazą górowały trzy szarańczyny i dwa dęby. W cieniu ich rozłożystych, gęstych koron stały dwa pomniki pokryte wieńcami z szarfami i wstążkami w narodowych barwach Włoch. Pod drzewami stały dwie odrapane z farby ławki. Na jednej siedział staruszek, który albo zasnął, albo doznał jakiegoś ataku i chwilowo nie kontaktował – miał zamknięte oczy, przechyloną na bok głowę i otwarte usta. Nie widać było, żeby oddychał; sprawiał wrażenie, jakby przeniósł się na tamten świat i nikt tego jeszcze nie zauważył. W każdym razie z wyglądu starca można było wnioskować, że już się nie podniesie. U jego stóp leżał pies, w pozycji, jaką potrafią przyjąć tylko psy znad Morza Śródziemnego, wyciągnięte w cieniu latem w porze największego nasłonecznienia. Biedny zwierzak również wyglądał tak, jakby znajdował się w stanie agonalnym. Druga ławka była wolna, zwaliliśmy się na nią kompletnie padnięci.

Z pewnością na chwilę przysnęliśmy otumanieni upałem i monotonnym cykaniem świerszczy drapiących się po brzuchu na gałęzi szarańczynu. Kiedy pół godziny później odzyskaliśmy siły, udaliśmy się na taras widokowy na drugim końcu placu. Sięgająca wybrzeża panorama doliny Itria, krainy *trulli*, była jedyna w swoim rodzaju. Uznaliśmy, że to najpiękniejszy widok, jaki oglądaliśmy od początku podróży. Ale również i z tej strony nie doszedł do nas najmniejszy podmuch wiatru.

Anna zaczęła robić zdjęcia. Ja podszedłem do jednego z pomników na środku placu – okazał się kamiennym blokiem upamiętniającym poległych w czasie pierwszej wojny światowej. Była na nim tablica z wrytymi nazwiskami miejscowych ofiar konfliktu. Naliczyłem czterdzieści dwie osoby, a kiedy przyjrzałem się dokładniej liście, zaparło mi dech: połowa poległych nosiła to samo nazwisko. Musieli należeć do jednej rodziny, Palmisano.

Coś mnie tknęło i podbiegłem do drugiego pomnika, poświęconego poległym w następnej wojnie światowej. Na wrytej tam liście nie było żadnego Palmisana; wyglądało na to, że i rodzina, i nazwisko nie przetrwały pierwszej wojny. Zestawienie ofiar robiło jednak wrażenie: tym razem połowa należała do rodziny Convertinich.

Wróciłem do pierwszego pomnika i zawołałem Annę. Powitałem ją zgryźliwą uwagą, której nie zrozumiała:

– Obawiam się, że apokalipsa dotknęła to miasteczko już sto lat temu!

– O czym ty mówisz?

– O niczym, nieważne. Popatrz na tych nieszczęśników, ponad połowa należy do tej samej rodziny. – Zacząłem

głośno odczytywać i liczyć nazwiska zmarłych wyryte na pierwszej tablicy: – Giuseppe Oronzo Palmisano, jeden; Donato fu Francesco Paolo Palmisano, dwa; Silvestro Palmisano, trzy; Gianbattista di Martino Palmisano, cztery; Nicola di Martino Palmisano, pięć; Giuseppe fu Vito Palmisano, sześć...

– *Ventuno... Sono ventuno!* – przerwał mi czyjś głos o niskim brzmieniu.

Odwróciliśmy głowy i zobaczyliśmy, że staruszek na ławce się rusza. Kiedy oderwał plecy od oparcia i je wyprostował, nie wyglądał już na tak małego i kruchego. Jego poorana zmarszczkami twarz i przenikliwe spojrzenie przyciągały wzrok. Pies też się obudził, ale nadal leżał na ziemi z szeroko rozłożonymi łapami.

– Jest ich dwudziestu jeden! – powtórzył. – Wszyscy zginęli w pierwszej wojnie światowej. *La maledizione dei Palmisano!*

Wymieniliśmy z Anną zdumione spojrzenia. Bez słowa podeszliśmy do ławki i usiedliśmy obok staruszka, od którego pierwszy raz usłyszeliśmy o klątwie rodziny Palmisano. W ciągu następnych godzin spędzonych w tym zakątku południowych Włoch dowiemy się o niej znacznie więcej.

# Wielka wojna

Pierwszy umarł Giuseppe Oronzo Palmisano (1), największy zwolennik wojny. Od dawna przygotowywał się na wypadek, gdyby wezwała go ojczyzna. Zginął dwudziestego czwartego maja 1915 roku, dzień po tym, jak Włochy wypowiedziały wojnę Austrii i przystąpiły do koalicji państw ententy. Biedny Giuseppe Oronzo zawsze twierdził, że walka na froncie to okazja, by nauczyć się samodyscypliny, wzmocnić charakter i skierować na właściwe tory nadmiar energii młodych mężczyzn. Uważał, że pole bitwy jest jedynym miejscem, gdzie można brutalnie używać siły w sposób naturalny i uporządkowany. Jakby się uprawiało szlachetną sztukę, mawiał.

Giuseppe Oronzo był lojalny i obowiązkowy. Jego problem polegał na tym, że zawsze chciał rozstrzygać zatargi za pomocą rękoczynów. Mimo naturalnej skłonności do przemocy nie można go było jednak nazwać złym chłopcem. Jako pierwszy z Palmisanów zaciągnął się do wojska i został przyjęty do oddziału ochotników, co było zaszczytem dla kogoś pochodzącego z takiego miasteczka jak Bellorotondo.

Niedługo potem jako pierwszy znalazł się na linii frontu na płaskowyżu Kras, w północno-wschodnich Włoszech, i jako pierwszy wziął udział w walce. Również jako pierwszy ze swojego oddziału wyskoczył z okopu, by ścigać Austriaków, którzy w początkowych godzinach wojny tylko się cofali. I pierwszy dostał kulę w pierś, dokładnie w mostek. Kiedy usłyszał odgłos przypominający zderzenie dwóch kawałków metalu i poczuł nieprzyjemne gorąco, pomyślał, że kula tylko musnęła guzik bluzy. Próbował biec dalej, ale nogi odmówiły mu posłuszeństwa, ugięły się pod nim i Giuseppe Oronzo padł jak porażony. Gdy Austriacy przystąpili do kontrataku, jakiś kapral z podkręconym wąsem stanął nad nim i wbił mu bagnet w serce, ale biedny Giuseppe Oronzo nie czuł bólu, bo już wcześniej uszło z niego życie. Pierwszego Palmisana spotkał wątpliwy honor bycia jednym z pierwszych Włochów, którzy polegli pierwszego dnia wojny na austriackim froncie. Latem tamtego roku skończyłby dwadzieścia dwa lata.

\*

Jako drugi zginął Donato fu Francesco Paolo (2). Był najbardziej bojaźliwy z całej rodziny, oddałby wszystko, żeby uniknąć poboru. Nie starczyło mu nawet czasu, by doświadczyć wszelkich okropności życia w okopach. On także zginął na froncie na Krasie, pod koniec lata, w wyniku wybuchu pocisku artyleryjskiego wystrzelonego przez obrońców przygranicznego miasta Gorycja. Kilka dni później poległ Silvestro (3), przeszyty kulami z nowych karabinów maszynowych Austriaków, które w październiku 1915 roku siały spustoszenie w oddziałach bezskutecznie szturmujących

wzgórza Santa Lucia, na północno-wschodniej granicy Włoch. Włoscy oficerowie, rozmieszczeni wygodnie w punktach obserwacyjnych położonych z dala od linii ognia, obsługiwani przez ordynansów w rękawiczkach, popijali herbatkę z porcelanowych filiżanek i stamtąd wydawali rozkazy, wysyłając kolejne oddziały, by próbowały zdobyć szczyt. Do czasu, aż naczelny dowódca włoskiej armii, generał Luigi Cadorna, który sam nigdy nie zrozumiał bezsensu tej masakry, uznał, że ofensywa została zakończona. W ten sposób dobiegła końca trzecia bitwa nad Soczą, rzeką wciśniętą między piękne góry w pobliżu granicy z Cesarstwem Austro-Węgierskim, o której w Bellorotondo do tamtego dnia nikt nawet nie słyszał.

\*

Najstraszliwsza śmierć spotkała bliźniaków. Jako mali chłopcy Gianbattista di Martino Palmisano (4) i Nicola di Martino Palmisano (5) nienawidzili nosić jednakowych ubranek. Do rozpaczki doprowadzały ich kobiety z miasteczka, które przystawały na ulicy, żeby pogłaskać lub przytulić malców i głośno oznajmić, jak miło na nich patrzeć, „takich ładniutek, identycznych jak dwie krople wody”.

Pewnego dnia, kiedy mieli już dość tej przesadnej wylewności, postanowili się rozdzielić i nie pozwolić, by ubierano ich jednakowo. Przestali chodzić razem do szkoły, nigdy nie opuszczali domu w tym samym czasie. Nie bawili się już razem na podwórku. Gdy w dni świąteczne rodzina spacerowała po Via Cavour w centrum Bellorotondo, starali się za wszelką cenę iść jak najdalej od siebie, każdy innym chodnikiem. Gdy byli starsi, robili wszystko, by odróżnić



się fizycznie: Gianbattista zapuścił wąsy, Nicola wybrał bródkę; jeden czesał się z przedziałkiem po prawej stronie, drugi po lewej. Kiedy zalecali się do dziewczyn, Gianbattista wybierał żywiołowe, towarzyskie śmieszki, Nicola natomiast wołał powściągliwe domatorki.

Gdy w końcu zdołali zapomnieć, że są bliźniakami, a miasteczkowe kobiety zostawiły ich w spokoju, dostali powołanie do wojska. Otrzymali wezwanie tego samego dnia, pierwszego lutego 1915 roku, od tego samego listonosza. Trafili do tych samych koszar, obu ogolono głowy na łyso, a kiedy ubrano ich w identyczne mundury, byli do siebie tak podobni, że nie dało się ich odróżnić. Od tego dnia przechodzili to samo szkolenie i spali w tym samym piętrowym łóżku, jeden nad drugim. Sześć miesięcy później razem pojechali na północ, dostali przydział do tej samej kompanii, razem otrzymali wiadomość, że jadą na front i powinni być gotowi z marszu ruszyć do boju.

Skończyli właśnie po dziewiętnaście lat i znów byli jak dwie krople wody, ale już im to nie przeszkadzało i nie robili niczego, żeby temu zaradzić. Przeciwnie, stali się nierozłączni: spali obok siebie, okopywali się w tym samym błotnistym rowie i biegli jeden przy drugim, kiedy atakowali austriackie pozycje. Nikt w kompanii nie potrafił odróżnić braci. Kapitan Di Luca wydawał im rozkazy, jakby byli jedną osobą:

– Palmisano, wdrap się na wzgórze za lasem i ucisz raz na zawsze ten przekłęty karabin, bo nie daje nam żyć!

Gianbattista i Nicola nie pytali, kogo dotyczył rozkaz. Wyczołgivali się z okopu i przyklejeni do siebie, jakby byli jedną osobą, podpełzali do skał. Potem biegli do jodłowego lasu, a pół godziny później nieprzyjacielski karabin wylaatywał

w powietrze. Towarzysze broni krzyčili: „Niech żyje Palmisano!”, uznając za oczywiste, że obaj poczują się adresatami tej owacji.

W listopadzie na froncie, na którym bliźniacy zasłużyli z nawiązką na order za odwagę, Austriacy wypuścili chlor. Gdy śmiercionośna chmura się rozwiła, w okopach po obu stronach odkryto przerażającą liczbę trupów. W trakcie ataku wiatr zmienił kierunek i po zagazowaniu Włochów chlor dokonał spustoszeń także w szeregach atakujących ich Austriaków. Obie armie miały mnóstwo pracy przy zbieraniu zwłok ofiar tego szaleństwa. Kiedy ludzie kapitana Di Luki znaleźli bliźniaków, ci leżeli objęci jeden na drugim; ciała były tak splecione, że nie udało się ich rozdzielić. Twarze mieli posiniałe w wyniku działania trucizny, a ich wykrzywione z przerażenia usta wypełniała gęsta piana. Bluzy śmierdziały gazem.

Kapitan nie wahał się ani chwili.

– Rzućcie wszystko i pochowajcie wreszcie zwłoki Palmisana. Nie zniosę tego horroru ani minuty dłużej!

Żołnierze spojrzeli na siebie zaskoczeni, po czym utkwili pytający wzrok w kapitanie. Nie wiedzieli, o którym z bliźniaków mówi.

– Którego Palmisana, kapitanie? Nie możemy ich rozdzielić.

– Na miłość boską, nie widzicie, że to niepotrzebne? Pochowajcie ich tutaj, tak jak ich znaleźliśmy. Jak jednego człowieka.

Tak więc Gianbattistę di Martina Palmisana i Nicolę di Martina Palmisana pogrzebano na polance w jodłowym lesie, jednego na drugim, połączonych na wieczność.

Kiedy w miasteczku dowiedziano się, że bliźniacy umarli, obejmując jeden drugiego, wszyscy byli bardzo poruszeni. W kościele pod wezwaniem Niepokalanej odprawiono mszę, na którą stawili się tłumnie mieszkańcy. Pamiętali braci jako małych chłopców, zawsze tak samo ubranych, i cieszyło ich, że przed śmiercią znowu postanowili stać się bliźniakami.

Po tej tragedii kobiety z rodziny Palmisano nie zdejmowały żałoby do końca wojny. Jakiś czas później, w wigilię Bożego Narodzenia roku 1915, dotarła do nich wiadomość z Libii o śmierci Giuseppego fu Vita (6). Umarł z dala od frontów wojny, w miejscu niemal egzotycznym, które wydawało się raczej bezpieczne. Chłopak był drobny i od małego łapał wszelakie choroby. W Trypolisie za sprawą jakiejś infekcji temperatura wzrosła mu do czterdziestu dwóch stopni. Po trwających piętnaście dni majakach zmarł, nie wytrzymawszy ataku takiej gorączki.

Los zakpił z wieśniaków ukaranych przez wojnę: wiadomość o śmiertelnych skutkach wysokiej gorączki Giuseppego fu Vita dotarła do nich w dniu, kiedy temperatura w miasteczku spadła do trzech stopni poniżej zera. Gdy kobiety Palmisanów, przerywając wigilijną ciszę, wybiegły z płaczem na ulicę, musiały stawić czoło największym chłodom od początku stulecia.

Martino Palmisano (7) zmarł w marcu następnego roku w czasie piątej bitwy nad Soczą od kuli, która utkwiała mu w rdzeniu kręgowym. Na tym etapie wojny wszyscy mieszkańcy miasteczka potrafili już wskazać tę rzekę na mapie. Większości z nich wydawała się bardzo ładna, ale też

bardzo mała; płynęła w zakątku ziemi tak oddalonym od Bellorotondo, że niektórzy wątpili, czy w ogóle należy jeszcze do Półwyspu Apenińskiego.

Jesienią 1916 roku w odstępie kilku dni zeszli z tego świata Stefano (8), Giuseppe fu Piet (9) i Donato fu Vito (10). Pierwszego rozerwał granat, drugi zmarł z powodu powikłań wywołanych gangreną w nodze, trzeci na zawał serca, którego dostał w trakcie bitwy. Wszyscy trzej mieli narzeczone i planowali wziąć ślub po zakończeniu konfliktu, który przekształcał się w istne szaleństwo i zagrażał rodzinom połowy Europy. Po otrzymaniu smutnej wiadomości o tym potrójnym nieszczęściu trzy dziewczyny przemierzały razem ulice Bellorotondo, oplakując swoją niedolę, jakby właśnie zostały wdowami. Nikt nie potrafił powiedzieć dokładnie, czy trzej kuzyni ponieśli śmierć u podnóża Monte Hermada – ostatniej przeszkody na drodze do Triestu – w czasie siódmej, ósmej czy dziewiątej bitwy nad Soczą, walki bowiem toczyły się w zawrotnym tempie, a linia frontu zmieniała przebieg z tygodnia na tydzień. Jednak za sprawą trzech zgonów, które nastąpiły w odstępie kilku dni, nieszczęście, jakie spadło na tę biedną chłopską rodzinę, urosło do rangi legendy. Od tej chwili nikt w miasteczku nie wątpił już, że Palmisanów prześladowe jakaś straszliwa *maledizione*. A jeśli brakowało na to dowodu, pojawił się on dwa miesiące później, w Boże Narodzenie roku 1916. Drugi raz z rzędu tragiczna wiadomość dotarła do rodziny w tę szczególną noc: po wyjściu z pasterki mieszkańcy Bellorotondo dowiedzieli się o śmierci Giuseppego di Giovanniego (11). Pod koniec września najstarszy z Palmisanów jakimś cudem ocalał podczas wybuchu w tunelu wydrążonym przez

Austriaków pod pozycjami włoskimi na Monte Cimone, ale trzy miesiące później zginął w zasadzce w pobliżu przełęczy Stelvio. Giuseppe został wysłany w Alpy i przydzielony do oddziałów wysokogórskich jako specjalista od budowy kopalni, ponieważ miał umiejętności niezbędne podczas dziwnej wojny prowadzonej na froncie alpejskim pod ziemią. Zamiast walczyć na otwartej przestrzeni, na powierzchni, Włosi i Austriacy wiercili tunele i zakładali ładunki wybuchowe pod pozycjami wroga. Pod ziemią, we wnętrzu gór, Giuseppe był najbardziej kompetentnym ze wszystkich żołnierzy, za to nie czuł się pewnie, kiedy musiał wychodzić z tuneli i patrolować zaśnieżone przełęcze, czasami na wysokości ponad dwóch tysięcy metrów.

Przez resztę zimy i całą wiosnę 1917 roku do miasteczka nie przyszedł żaden telegram; brak wiadomości wydawał się zadawać kłam najgorszym przepowiedniom. W rzeczywistości ta przerwa była wynikiem małej aktywności wojsk, wymuszonej przez straszliwe warunki atmosferyczne panujące w Europie. Kiedy pogoda się poprawiła, klątwa znów dała o sobie znać. W dzień Zielonych Świątek nadeszła wiadomość o śmierci Catalda (12) w Albanii, akurat w momencie, gdy kraj ten stał się protektoratem Włoch i oficjalnie zakończył działania wojenne.

Jesienią doszło do klęski pod Kobaridem: front nad rzeką Soczą został przerwany, włoska armia wycofała się na całą linię, od Adriatyku po Dolinę Sugana w pobliżu Trydentu. Austriacy zabili, ranili lub wzięli do niewoli ponad trzysta tysięcy żołnierzy. Tylko w ciągu jednego dnia, dwudziestego piątego października 1917 roku, zaledwie kilka kilometrów od siebie zginęli Vito (13), Giulio (14) i Angelo Giorgio (15),

wszyscy trzej od kul z karabinu wystrzelonych z bardzo bliskiej odległości. Nie mieli już amunicji, a ich oficerowie kilka godzin wcześniej uciekli w popłochu, nie wydawszy nawet rozkazu odwrotu. Wszyscy trzej dopiero niedawno zostali zmobilizowani, wiosną poprzedniego roku skończyli osiemnaście lat. Kiedy wiadomość o potrójnej tragedii dotarła do Bellorotondo, mieszkańcy ostatecznie utwierdzili się w przekonaniu, że ani jeden Palmisano nie przeżyje tej bezlitosnej wojny i ciężącej na rodzinie klątwy.

\*

Mieszkańcy miasteczka zawsze uważali Domenica (16) za poczciwinę, ze wszystkiego zadowolone biedaczysko. Najbardziej okrutni mieli go za głupka i robili sobie z niego żarty, ale on się nie skarżył, bo w kierowanych pod jego adresem komentarzach nie dostrzegał złych intencji. Tych, którzy go nie znali, dziwił zawsze obecny na jego ustach uśmiech, który nadawał twarzy chłopaka nierozgarnięty wyraz, choć tak naprawdę był jedynie odzwierciedleniem niewinnej szczęśliwości. W dzieciństwie często zbierał w domu cięgi, ponieważ przyglądał się ludziom i byle co wprawiało go w zachwyty. Z powodu wrodzonych trudności z koncentracją nauczyciele również często łoili mu skórę, aż w końcu spisali go na straty i zaprzestali prób prostowania jego ścieżek biciem po twarzy.

Kiedy dorósł, odkryto, że nie jest wcale takim głupkiem, na jakiego wygląda, ale niez mordowanym, zdolnym pracownikiem, zwłaszcza w gajach oliwnych; był mocny jak dąb i nigdy się nie ościągwał, a im więcej pracował, tym bardziej wydawał się szczęśliwy. Zasłużył sobie na szacunek również

w czasie wojny. Zgłaszał się na ochotnika do najniebezpieczniejszych akcji, nigdy nie kwestionował rozkazów i nie odczuwał strachu. Tak naprawdę nigdy nie myślał o śmierci – jego głowa nie nadawała się do takich intelektualnych spekulacji. Dlatego w czasie walki wszyscy chcieli go mieć przy sobie. Nocami, w baraku, wspominał dziadka, który zabierał go do gaju oliwnego i zawsze traktował tak, jakby Domenico był najnormalniejszym ze wszystkich ludzi. Bardzo za nim tęsknił.

– Czuję, że dziś znowu będziemy mieli kłopoty! – rzucił na powitanie Cambrone, kolega z piętrowego łóżka, kiedy Domenico wszedł do baraku po zakończonej warcie. – Wezwali kapitana na stanowisko dowodzenia. Wygląda na to, że *Alpenjäger* szykują kolejny atak, zanim pogorszy się pogoda – dodał, padając na pryczę.

Domenico nie zliczyłby, ile już razy tracili i zdobywali pozycje na płaskowyżu Asiago, między Vicenzą i Trydentem. Widział przerażenie, z jakim patrzył na niego Cambrone, ale nie przeczuwał zbliżającej się rzezi. Natomiast jego towarzysz, który podczas warty zauważył niezwykle ruchy po stronie wroga, domyślił się, że tego ranka, czwartego grudnia 1917 roku, atak austriackich batalionów alpejskich będzie inny niż dotychczasowe.

– Pozwól mi popatrzeć przez chwilę na twoją narzeczoną – powiedział głosem drżącym na myśl o zbliżającej się bitwie.

– Jeszcze mi zniszczysz! – Domenico zaśmiał się nerwowo.

Pocztówkę z nagą dziewczyną kupił w Bari, zanim wsiadł do pociągu, który miał go zawieźć na front. Po dwóch latach wojny znał na pamięć najdrobniejsze detale ciała kobiety, którą dzielił z połową kompanii. Dziewczyna pozowała

całkiem naga, opierając pośladki o stojak na kwiaty, przy łóżku z aksamitną narzutą, które zachęcało, by na nim usiąść. Miała ciało anioła, lewą rękę odchyliła do tyłu pełnym elegancji ruchem, by z gracją wypięć sterzące piersi.

– Zawsze gotowa do przeglądu – mawiali chłopcy, zachłannie wpatrując się w jej biust.

Miała czarne kręcone jedwabiste włosy, z małym loczkiem zwiniętym na uchu, długie na tyle, że pukle zakrywały jej kark. Twarz spoczywała łagodnie na prawej dłoni; wzrok dziewczyny przykuwało coś za obiektywem aparatu. Nikt w całej kompanii nie widział nigdy tak pięknej kobiety. Nazywali ją narzeczoną Palmisana.

Kiedy napłynęła potężna szara fala austriackich żołnierzy, zaczęły się przeplatać w szybkim tempie rozkazy i odwołujące je polecenia, coraz bardziej sprzeczne. Wkrótce było już jasne, że obrona pozycji zakończy się klęską; Włosi rozpierchli się w popłochu, co ułatwiło atakującym miażdżące zwycięstwo i znacznie zwiększyło liczbę ofiar wśród uciekających. Domenico, Cambrone i Campana bronili pozycji przez wiele godzin. Trzej towarzysze z baraku byli nierozłączni i zawsze walczyli na pierwszej linii. Dopiero kiedy spostrzegli, że wkrótce zostaną otoczeni, wycofali się i ze zdumieniem odkryli, że oficerowie dawno opuścili stanowiska dowodzenia.

Odnaleźli w dolinie niedobitków z batalionu, którzy uciekli w popłochu kilka godzin wcześniej. Campana i Cambrone dołączyli do zdziesiątkowanej kompanii, natomiast Domenico pomaszerował dalej. Po dwóch latach zacieklej walki na pierwszej linii miał dość. Postanowił wrócić do domu.



Na drogach panował taki chaos, że nikt nie zadał sobie trudu, by pytać go o papiery. Nikt również nie żądał biletu ani nie legitymował go na odcinkach, które pokonał pociągiem. Ale kiedy osiem dni później dotarł do Bellorotondo, żandarmeria wojskowa czekała już, by zatrzymać go za dezercję.

Następnego ranka, gdy odwożono go do koszar w Bari, zobaczył dziadka stojącego po drugiej stronie ulicy.

– *Nonno! Nonno!* – zawołał, nie mogąc zrozumieć, dlaczego dziadek do niego nie podchodzi i dlaczego strażnicy nie pozwalają podejść jemu. Stracił panowanie nad sobą i zaczął głośno krzyczeć.

Stary Palmisano nie wytrzymał i uciekł, zrozpaczony, że nie może uściskać wnuka ani wytłumaczyć mu, co się dzieje. Na widok oddalającego się dziadka Domenico wydał z siebie wrzask, który rozdarł przejrzyste powietrze tamtego lodowatego zimowego poranka:

– *Nonno!*

Żołnierz z eskorty wbił mu kolbę karabinu w brzuch, pozbawiając go przytomności. To był jedyny sposób, by uciszyć chłopaka i wsadzić go do samochodu.

Następnego dnia ponownie zobaczył dziadka, w sali trybunału wojskowego w Bari, który miał go osądzić. Nie rozumiał, dlaczego *nonno* nie podszedł, żeby z nim porozmawiać, założył jednak, że skoro tu jest, nadal go kocha. Domenico rozchylił usta w spokojnym uśmiechu, który nie zniknął nawet wtedy, kiedy sędzia skazał go na karę śmierci.

– Nie płacz, *nonno*. Wojna szybko się skończy! – zawołał do dziadka, gdy wsadzano go do pociągu, którym miał

wrócić na północ, by trafić w ręce dowództwa swojej kompanii. Miał wrażenie, że dziadek, który patrzył na niego z drugiego końca peronu, się skurczył.

Podróż powrotna na płaskowyż trwała znacznie krócej niż dotarcie do Bellorotondo. Dwa dni po wyjeździe z Bari był w Vicenzie, trzeciego zawieziono go do Asiago, a stamtąd do Col del Rosso, gdzie skoszarowano pozostałych przy życiu żołnierzy kompanii unicestwionych w wyniku klęski z czwartego grudnia. Jakiś świeżo upieczony kapitan natychmiast sformował pluton egzekucyjny złożony z nielicznych ocalałych z kompanii Domenica, wśród których znaleźli się Campana i Cambrone.

Kapitan wydał rozkaz „ognia!”, ale żołnierze stojący na wprost niewinnie uśmiechającego się Palmisana, który jeszcze nie rozumiał, co się dzieje, nie byli w stanie wykonać wyroku. Wystrzelili w powietrze.

– Ognia! – krzyknął ponownie rozsierdzony kapitan.

I znowu celowo nie trafili.

Oficer zagroził żołnierzom plutonu pistoletem, ale ci ponownie stawili mu opór.

– Na miłość boską, kapitanie...! – zaprotestował Campana.

– Domenico mnóstwo razy ratował nam życie. Niespełna miesiąc temu sam zlikwidował dwa karabiny maszynowe, które trzymały nas w szachu w Valbelli...

– Strzelajcie, kurwa! Strzelajcie! Ja tylko wypełniam rozkazy. Jeśli nie zaczniecie strzelać, postawię was przed sądem wojennym!

Płacząc, zaczęli strzelać wszyscy naraz. Kiedy Domenico zwał się na ziemię, usłyszeli jeszcze słowa pożegnania:

– Jestem zmęczony, *nonno*. Zabierz mnie do domu.